K. KRSZEWSKI

WYPRAWA NA ŻUBRY

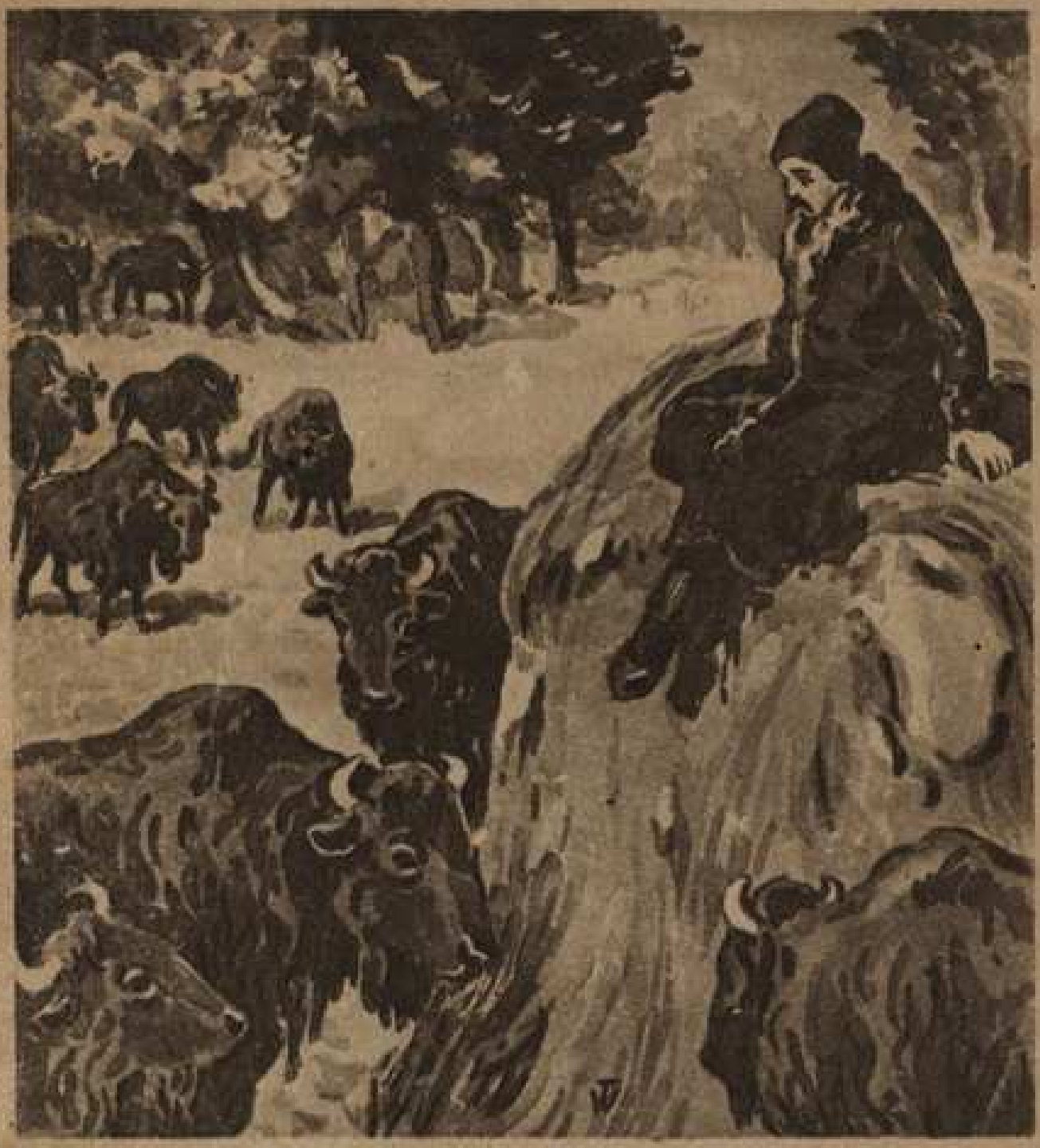


POLSKI ZWIĄZEK
ŁOWIECKI

MYŚLIWSKI
451
471

JETAN KRASZEWSKI

WYPRAWA NA ŻUBRY



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA
Nr 2179

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr.
ZBIÓR MYŚLIWSKI

WYPRAWA NA ŻUBRY

PLAMA



K. KRASZEWSKI

WYPRAWA NA ŻUBRY

HUMORESKA Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

PLAMA

RAMOTKA

Polski Związek Łowiecki
Koło Łowieckie
MYŚLIWSKIE
Nr. 1/3/4
CZYTELNIA „ŚWIT"
Górnośląska 16 m. 38



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA
Nr. 2179/

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr. 2179.



CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

WYPRAWA NA ŻUBRY

HUMORESKA Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

— A niechże cię! co to? — zawołał podkomorzy, przebudzając się nagle z wygodnej drzemki między poduszkami, kiedy wysoka, na stojących resorach bombiasta landara, w której siedział, stuknęła na mostku.

Wąsaty Jan, stangret, nie w porę przytrzymał czwórkę gniadych, dużych, spasionych koni, które już dom poczuły i śpieszyły do własnego żłobu, a mostek graniczny cechował się od niepamiętnych lat tym złamanym i wystającym na środku dylem, dającym znać miejscowym przejezdnym, choćby w noc najciemniejszą, gdzie się znajdują! była to praktyczna strona jego budowy.

I na ten raz przeto, podkomorzy, ziewnąwszy i przetarłszy oczy, odezwał się sam do siebie:

— Aha! to już jesteśmy na swoim gruncie.

Pod wieczór, kiedy słońce zniża się ku zachodowi, w tem świetle ukośnem zbożowa ruń najkorzystniej się zwykle przedstawia.

— A co, Jędrzeju — ozwał się podkomorzy do swego starego faworyta lokaja — widzisz, jakie to u nas żyto; przez całą drogę nie widzieliśmy takiego.

Jędrzej, tylko co właśnie zaczerpnąwszy hojnie z tabakierki towarzysza Jana, naprzód kichnął tak, że aż się konie szarpnęły, potem obtarł nos chustką kraciastą i odrzekł z głębokiem przekonaniem:

— A! tak, proszę pana, bez całą drogę nie widzieliśmy takiego.

— Tylko może — ciągnął pan — u jednego pana Skirmunta takie same.

— A! tak, proszę pana, — o! u pana Skirmunta takie same.

— Ale... hm, kto wie? — mówił dalej podkomorzy — mnie się zdaje, że nasze gęściejsze.

Zajmująca rozmowa urwała się na chwilę; pan podkomorzy macnął się po potężnym brzuchu, myślał dobyć zegarka, ale ta manipulacja przedstawiała tyle kłopotów z odpina-

niem i zapinaniem mnóstwa guzików, że machnął ręką zniechęcony.

— Jędrzeju! — zawołał znowu.

— Słucham pana.

— Jak myślisz, czy już jest piąta godzina?

Jędrzej spojrzał na słońce.

— Pewno, że jest, proszę pana.

— Hm... może już tam u nas herbatę wypili.

— A jużci, zapewne, że wypili.

— O! bodajże ich! trzeba będzie czekać na samowar... ale, pewno jeszcze niema piątej!

— I... i... pewno, proszę pana, że niema piątej.

Landara wtoczyła się niebawem na dziedziniec a Jędrzej rzekł, zwracając się na koźle:

— Proszę pana, jeszcze nie pili; Pietrek *ono dopiero* w samowar dmucha.

Tymczasem podwórzowe psy podniosły larum, w dziedzińcu zaczęła się bieganina, i gdy powóz przed gankiem stanął, na spotkanie gospodarza wybiegły już dzieci; znalazła się i sama pani podkomorzyna i niedawno przybyła siostrzenica Andzia i guwerner pan Terpiłowski i nawet ksiądz kapelan Bernardyn podążał już z oficyny na powitanie, bo herbatę dawano, a potem zaraz następowały obowiąz-

kowe trzy robry wista, na paciorki z podkomorzym i guwernerem.

Landara stanęła; Jędrzej zeskoczywszy otworzył, nie bez trudu i kołatania, mocno nadwerężone drzwiczki; następowała mozolna operacja wydobywania się podkomorzego z powozu. Jędrzej nieodstępny pomagał.

— Czekaj! czekaj! sss... bodaj cię! noga, noga! a niechże go — stękał podkomorzy — no, dobrze.

Wstępował na ganek; zaczęły się powitania.

— Jak się macie! jak się macie! — o... o... oj, jak mnie kości bolą... co to, panie, dziś siedem mil umachaliśmy.

— Kiedyż wyjechałeś od Skirmunta? — spytała żona.

— A no... wczoraj po obiedzie.

Całe towarzystwo weszło do domu, a że już herbatę dawano, wszyscy podążyli do jadalni i zasiedli przy stole.

Już to trzeba przyznać, że u podkomorstwa nikt głodnym nie był.

Po kawie rannej, było śniadanie gotowane o godzinie ósmej, obiad suty punkt o dwunastej, potem kawa ze śmietanką około trzeciej po południu, herbata z przekąskami o piątej, kolacja zawiesista o ósmej, i jeszcze czasem

pod noc „na podkurek" ponczyk lekki, ciasta, owoce albo jakieś słodkie przekąski.

Podkomorzy bowiem utrzymywał, że jak człowiek głodny, to do niczego; prawda, że sam jak zjadł, byle z godzinkę potem odpoczął albo po obiedzie z półtorej przedrzemał, to mógł już bodaj dwie godziny grać w wista, nic w usta nie biorąc. A jak widział, że ktoś, z młodszych zwłaszcza, mało jadł na wieczerzę, zawsze powtarzał:

— Cóż to, kochanku, nie jesz? to bardzo źle; jak zamłodu nie możesz jeść kolacji, to na starość i obiadu jeść nie będziesz.

Wszyscy też u podkomorstwa nauczyli się jeść obficie; trzeba też przyznać, że lubo tuszy gospodarza nikt dorównać nie mógł, dzieci jednak i starsi, państwo i domownicy, wyglądali wyśmienicie.

Z początku więc przy herbacie rozmowa szła tylko dorywczo, bo wszyscy byli nadto zajęci, ale gdy podkomorzy wypił już pierwszą szklankę herbaty i „przetrącił" nieco, zjadłszy kilka potężnych kawałków chleba z masłem i cały talerz wędliny, rozmowa stała się więcej ożywioną.

— Uf! — stęknął gospodarz, obracając się do żony — powiadam ci, Karolciu... tak

mnie ta droga rozłamała, że jak tylko trochę się na kolację posilę, zaraz idę do łóżka.

— Ale bo, mój drogi — odparła żona — cały rok siedzisz w domu, nigdzie się nie ruszysz, raz tylko wyjedziesz do Skirmunta na te imieniny i znowu siedzisz do przyszłej jesieni; odzwyczaiłeś się od jazdy.

— Co też ty gadasz! — zawołał podkomorzy — ciągle jeżdżę; latem w pole... no, do kościoła, byłem przecie na Wielkanoc w parafji.

— Tak, na Wielkanoc o pół mili — potwierdziła podkomorzyna — a teraz mamy listopad.

— No — przerwał mąż — ale co roku zawsze do Skirmunta jadę.

— Jakżeście się tam bawili? — spytała żona.

— A doskonale, doskonale — mówił uśmiechając się, podkomorzy — obiady! kolacje! powiadam ci, Karolciu, jakiego ma kucharza! artysta! — No, oni tam przez dwa dni jeździli na polowanie, a my sobie starsi w wisteczka.

— Dużo gości było?

— O! jak zawsze; kilkadziesiąt osób z różnych stron, z Wołynia, z Podola, z Kró-

lestwa, a nawet z za kordonu austrjackiego. Tylko mam zawsze biedę — dodał gospodarz, obie ręce podniósłszy do góry i machnąwszy niemi niechętnie — że ile razy tam jestem, zawsze ktoś ,z tych dalszych, rozmawiając ze mną, jak się dowie, że jestem z Prużańskiego, że mieszkam niedaleko Białowieskiej puszczy, regularnie, powiadam ci, zaraz pyta się o żubry: a jakie? a co? a tego?... no, ja nigdy przecie myśliwym nie byłem; naco mi żubry? A oni zaraz: jakto? pan tam mieszka i żubrów nigdy nie widziałeś?

— Jakto? — w tej chwili zawołała Andzia — to wujaszek doprawdy nigdy żubrów nie widział?

— O! o! otóż masz! — wykrzyknął podkomorzy — i ta także! a to skaranie Boże z temi żubrami!

— Ale bo to, wujaszku, — szczebiotała panienka — to bardzo rzadkie stworzenie; ja się w geografji tego uczyłam, że żubrów nigdzie na świecie niema, tylko są w Białowieskiej puszczy.

— Otóż to! zawsze mnie te żubry! co tam tak osobliwego? cztery nogi, ogon, głowa... tfu! już to mi tak dojadło, że wytrzymać trudno. Właśnie, uważasz, Karolciu, i myśla-

łem już sobie w drodze: niema na to innej rady, tylko trzeba nam się stąd wynieść.

— Jezus, Marja! — zawołała podkomorzyna — co też ty gadasz? Przeżyliśmy tu całe życie...

— Ale tak, tak, kochanie; bo ty nie wiesz, co ja przez to wycierpię. Grabowskiemu na Święty Jerzy kontrakt się kończy; wyniesiemy się do Konopnicy, a już tam, jak będę mieszkał pod Łuckiem, nikt się o mnie o żubry pytać nie będzie.

— Owszem — odezwał się kapelan — jak jegomość dobrodziej stąd tam się wyniesie, to tamtejsi sąsiedzi wszyscy będą się jeszcze więcej wypytywać o żubry.

— A... a... — zająknął się gospodarz — a może to i być — machnął ręką; — ale cóż... kiedy mnie już cierpliwości nie staje; życie mam zatrute temi żubrami.

— Wujaszku! — zawołała Andzia — ja dam wujaszkowi na to sposób najlepszy.

— Hę? ty? a to ciekawość, jaki ty masz sposób? Ja już sobie tyle lat głowę suszę napróżno...

— Bardzo prosty, wujaszku — przerwała panienka. — Ile stąd do Białowieskiej puszczy?

— A no, będzie mil ze trzy.

— To niech się wujaszek wybierze, pojedzie, żubry zobaczy i będzie mógł opowiadać, jak się kto zapyta.

— Ja? do puszczy? — zawołał podkomorzy — to także! powiedziała, co wiedziała! To, moja panno, puszcza nie obora. Gdzie ja ich tam będę szukał? Czy ty wiesz, co to puszcza? ho, ho! Jadąc stąd gościńcem do Grodna na Haleny i Popielew wpoprzek, w najwęższem miejscu prawie pięć mil lasem się jedzie!

Tu pan Terpiłowski, guwerner, odchrząknął i rzekł, podnosząc się lekko z krzesełka:

— Ja... ośmielam się przedstawić jaśnie wielmożnemu panu podkomorzemu dobrodziejowi, że gdyby tylko była jego wola widzieć żubry, to bardzo łatwa rzecz.

Podkomorzy zwrócił się do guwernera.

— Hę? łatwa? mówisz aspan, jakim sposobem?

— Tam jest mój brat nadleśnym jednego okręgu, gdzie też i żubrów niemało, on je zna wszystkie pod liczbą; ma bardzo porządne mieszkanie, można u niego przenocować wygodnie, on zawiezie w las i pokaże.

— Baa! tak! on tam gdzieś mieszka w jakimś kącie. Gdzie mnie się tłuc po wertepach!

— Najlepiej, jaśnie wielmożny panie — mówił Terpiłowski — pojechać zimą, jak będzie dobra sanna; tam dla żubrów, gdzie są łączki w ostępach, stawią zawsze stogi siana, ogradzają, a zimą, jak śniegi spadną, pokolei przy stogach rozrzucają płoty; żubry na żer przychodzą, a wtedy na nich, ile chcieć, napatrzeć się można.

— A wiesz, kochanie, — zauważyła, zwracając się do męża, podkomorzyna — że pan Terpiłowski dobrze radzi; pojedziesz, żubry zobaczysz, raz się tego z głowy zbędziesz i na zdrowie ci to posłuży, bo jak się kiedyś radziłeś pana Szretera, i on ci nawet koniecznie kazał więcej ruchu używać; zanadto się zasiedziałeś.

Tu gospodyni skinęła głową guwernerowi.

— Bardzo panu dziękuję za tę radę, już ja męża dopilnuję; jak tylko sanna stanie, musi pojechać.

— At! dajcie pokój — mruknął podkomorzy — gdzie mnie tłuc się po puszczy!

— Ale pojedziesz, pojedziesz — mówiła pani. — Zobaczysz, że będziesz rad i będzie ci zdrowo.

— No, no — rzekł podkomorzy, dźwigając się z krzesła — zobaczymy, to na potem, a teraz, panowie, nim wieczerzę dadzą, chodźmy do naszego wisteczka.

Wszyscy ruszyli się od stołu; podkomorzy po herbacie, półbochenku chleba z masłem, talerzu wędliny, serze i różnych innych drobniejszych dodatkach, wytrzymał jakoś do kolacji cierpliwie, a zjadłszy przy niej pięć zrazów i kopiasty talerz kaszy, pośpieszył do łóżka odpoczywać po drodze.

Minęło kilka tygodni, zima stanęła piękna, sanna wyborna, o żubrach jakoś nawet zapomniano, kiedy w pierwszych dniach grudnia nadjechała do podkomorstwa z Warszawy sprowadzona „madam" do panienek. Była to osoba już nie pierwszej młodości, „Polka *ale* bardzo edukowana", wyrażenia się pani podkomorzyny, mająca *pretensję* do literatury i słuszną może, bo jej ona nieco w głowie zawróciła, przytem krygująca się trochę i wielce wymowna.

Zaraz też nazajutrz przy obiedzie rozmowa zawiązała się bardzo ożywiona. „Madam" obdarzona była tak wybornym mechanizmem w ustach, że jak w dobrej gospodarskiej machinie idzie razem i młocarnia i sieczkar-

nia, tak u niej szło razem i przeżuwanie potraw i mowa, nie ustająca ani na chwilę.

Nie skąpiąc opowiadań o Warszawie i swoich tam szerokich stosunkach, sypała jednocześnie gradem zapytań, dla zapoznania się z nową okolicą, do której przybyła.

Że zaś sztuka mięsa była z truflami, „madam", która ich, jak widać, nigdy w życiu nie kosztowała, zdradziła się zapytaniem pani podkomorzyny, co to jest za przyprawa? Dowiedziawszy się zaś, że to są trufle, i nie przypuszczając, żeby one mogły ośmielić się rosnąć gdziekolwiek indziej jak w Périgord, zajechała natychmiast do departamentu Dordogne, wstąpiła do Lot et Garonne i zabiegła już na dwór Henryka IV, który te prowincje niegdyś do korony francuskiej przyłączył, gdy ją w zapędzie powstrzymała gospodyni, oświadczając, że to są trufle krajowe, które pomimo tej swojej dziedzicznej wady, posiadają nieskończenie więcej zapachu od rodowitych francuskich, a pochodzą z puszczy Białowieskiej.

Z dworu więc Henryka IV, jednym susem, przeskoczyła wymowna „madam" w ciemne i ponure ostępy Białowieży.

— Och! — zawołała z uniesieniem — co to za cudne być muszą i urocze, owe pełne tajemnic, dziewicze, nieprzebyte lasy, niedostępne i nieznane knieje!

Tu, przeżuwając jeszcze ostatni kęs szpikowanej polędwicy i wznosząc oczy w stronę sufitu, poczęła z pełnym namaszczeniem i zapałem:

„Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza,
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.

. . . . . .

W samym środku, jak słychać, mają swoje dwory:
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcz imperatory".

I zwracając się do gospodarza, zapytała żywo:

— Więc tu niedaleko jest owa sławna puszcza?

— A no, niedaleko — odparł podkomorzy niechętnie.

— I są w niej tury?

— Jakie tury? — spytał gospodarz.

— Przecież Mickiewicz o nich mówił wyraźnie.

BIBLIOTEKA
Nr. 2179.

— Hę? cóż to za jeden ten Mickiewicz, co acani dobrodziejce tych banialuków o jakichś turach nagadał?

Tu „madam" szeroko otworzyła zdziwione oczy.

— Ależ, panie, Mickiewicz toż to jest sławny poeta, genjusz! z tych stron nawet pochodzi, z Litwy.

— Mickiewicz? — powtórzył podkomorzy przeciągle, pokręcając głową — ha, może; u nas to, mociabdziko, dużo jest takich, co umieją wiersze pisać, ale to z próżniactwa. Ot, i u mnie jest ten Szyszło, pisarz od prowentu, także majster do takich rzeczy! ale, pani bdziko, i łże też, jak z nut ha! ha! — zaśmiał się. — To niech go kaci! widać to i ten pan Mickiewicz taki sam. Tury? — powtórzył podkomorzy — co za tury? ciekawość?!

— Ależ, panie — przerwała „madam" — Mickiewicz jest genjuszem, znany w kraju całym i zagranicą, skłamać nie mógł, mówi wyraźnie o turach i żubrach.

— No, co innego żubry — odparł gospodarz — żubry są — to prawda.

— Są żubry! — wykrzyknęła „madam" — ach! mój Boże! i pan dobrodziej widziałeś żubry?

Podkomorzy drgnął, jakby go kto szydłem ukłuł niespodzianie.

— Ja? — odrzekł — a mnie co po nich? Nieciekawym, niech ich tam! — machnął ręką.

— Jakto? tak rzadkie stworzenia, których nigdzie indziej podobno niema; ależ to jest osobliwość! I pan dobrodziej nie widziałeś żubrów?

— Ależ nie widziałem! nie widziałem! — huknął podkomorzy, uderzając pięścią w stół, aż podskoczyły i zabrzęczały wszystkie sztućce, szklanki i talerze.

Wybuch podkomorzego sprawił ten skutek nadzwyczajny, że przestraszona „madam", nie pojmując, co się stało, zamilkła na chwilę.

Na szczęście pani podkomorzyna przyszła z przytomną pomocą, obracając w żart całą sprawę, i rzecz się jakoś zatarła dość zręcznie.

Gospodyni jednak przypomniała sobie, że należało męża koniecznie wyprawić do puszczy, aby go raz przecie oswobodzić od tego kłopotu, który mu spokój całego życia zamącał; przyczem miała na uwadze i rady doktora Szretera z Prużany, zalecającego usilnie podkomorzemu jak najwięcej ruchu.

Nie wspomniała o tem nic gospodyni przy obiedzie, wiedząc z doświadczenia, że każdy

mąż daleko jest upartszym przy ludziach, aniżeli w cztery oczy; ale wieczorem, zagaiwszy sprawę, pomimo stękania, wymawiania się i wykręcania podkomorzego, potrafiła go przekonać nakoniec, i nie odkładając też, jazda do puszczy została postanowiona.

Wymówił sobie tylko podkomorzy, że pierwej pośle Terpiłowskiego, aby się ze swoim bratem nadleśnym umówił i porozumiał o wygodne pomieszczenie, nocleg i ułatwienie oglądania żubrów.

Nazajutrz rano podkomorzy jeszcze w szlafroku, popijając kawę, kazał przywołać pana Terpiłowskiego, który też stawił się niebawem.

— Mój panie — rzekł gospodarz do pokornie od progu już kłaniającego się pedagoga — weź asan parę koni i sanki i pojedź do swego brata, do puszczy, o te żubry... uważasz; kłaniaj mu się ode mnie, powiedz, że ja mu dam co że zboża i wynagrodzę, żeby mi ułatwił wszystko, że chcę je widzieć.

— Dobrze, jaśnie wielmożny panie — odrzekł Terpiłowski.

— Ale uważasz, aspan — ciągnął podkomorzy dalej — że ja będę musiał przenocować, więc proś, żebym tam znalazł i ciepły kąt i jaką taką wygodę; to grunt! uważasz,

aspan. Bo co do jadła, zapasy wszelkie będę miał, a Jędrzej potrafi nieźle ugotować... o... więc zaraz zabieraj się i jedź, a umów się o dzień.

Terpiłowski, pożegnawszy się, już wychodził, kiedy podkomorzy zawołał:

— Ale, ale, czekajno, aspan! ważna rzecz!

— Słucham — rzekł, powracając, pedagog.

— Pogadaj tam aspan z bratem, możebym ja mógł za jednym zamachem i te... jakże... a! tury zobaczyć.

— Co? jw. panie — spytał Terpiłowski, nie mogąc narazie dobrze zrozumieć, o co chodziło.

— No, tury, które także podobno są w puszczy.

— Tury? — powtórzył zdziwiony guwerner, zawahał się chwilę — co do tego — rzekł wreszcie — ośmielam się zwrócić uwagę jaśnie wielmożnego pana, że tych zwierząt wcale już niema.

— Ale, co aspan mówisz! — przerwał żywo podkomorzy — skąd możesz wiedzieć, że niema? Wprawdzie ja także o nich nie słyszałem, ale to nie racja; powiadają, że ten pan Mickiewicz, co o turach mówił naszej

„madamie", ma być bardzo mądry człowiek, to już musi w tem coś być!... o!

— Jaśnie wielmożny panie — rzekł nieśmiało Terpiłowski — i ja słyszałem i czytałem o turach, ale one już wyginęły.

— At! co tam aspan gadasz... wyginęły! Skąd możesz wiedzieć, że wyginęły? może w jakich ostępach jeszcze są. Co to, panie, puszcza, to wiadomo! Zresztą brat asana, to co innego; on to objaśni lepiej, a ja mu dobrze wynagrodzę. No, no, jedź aspan; jak chcesz, to sobie zabaw jeden dzień, a pojutrze wracaj.

Pan guwerner, wiedząc, że z podkomorzym żadna dysputa na nic się nie zdała, ukłonił się i wyszedł, rad, że przy tej sposobności będzie mógł odwiedzić brata i zapewnić go o hojnym datku podkomorzego.

W parę dni wrócił Terpiłowski, oznajmiając o najpomyślniejszym skutku swojej podróży, a podkomorzy, pomimo ociężałości i wrodzonego lenistwa, ulegając przedstawieniom żony, postanowił nazajutrz po wczesnym obiedzie wyruszyć do puszczy na ową swoją pamiętną po dziś dzień w prużańskim powiecie wyprawę na żubry.

Jakoż, w dzień wyjazdu, obudziwszy się, jak zwykle, o piątej rano i zasiadłszy do kawy, rozpoczął z Jędrzejem walną naradę przygotowawczą, która nie pozwalała już wątpić o wyjeździe, ale należało obmyślić głęboko, co brać, a czego nie brać w drogę.

Wyjazd o trzy mile, przepędzenie jednej nocy za domem i powrót może być rzeczą bardzo łatwą dla jakiegoś pędziwiatra, ale podkomorzy był człowiekiem rozważnym; dla niego była to już podróż, o której należało pomyśleć, przewidzieć, co mogło być w drodze i na miejscu potrzebne, jakie mogły niespodziewane zaskoczyć okoliczności, braki rzeczy do wygód potrzebnych, zmiany pogody i rozliczne przypadki. Człowiek porządny na wszystko powinien być przygotowany.

— Słuchajno, Jędrzeju — mówił — a czy mróz dziś wielki?

— Niebardzo, ogrodnik mówił, że osiem stopni.

— Hm... kto wie? może być odwilż, albo i deszcz... weźże i parasol... No, i niewiadomo, czy oni tam samowar mają, to weź także.

— Dobrze, proszę pana; a ubranie jakie?

— Zwyczajne, na drogę; ale uważasz... może większy mróz chwyci, zapakuj

i lisiurę; przyda się zamiast surduta pod futro.

— Dobrze, proszę pana; a tużurek?

— Możesz wziąć... na przypadek.

— To możeby i frak, proszę pana?

— Hm... frak?

Zamyślił się podkomorzy mocno; machnął ręką wreszcie.

— Ha! jeść, pić nie będzie prosił, nie wiele zaważy, nic nie szkodzi wziąć... może coś wypadnie.

— A fajki? proszę pana.

— Aha! o! dobrze, że przypomniałeś... ważna rzecz! na drogę, to ten z flexiblem, gięty cybuch podróżny, a na miejsce... hm, hm... niewiadomo...

— Możeby ten długi z bursztynem — zauważył Jędrzej.

— A! ba! dobrze, ja to myślałem, ale jak się stłucze?

— Otóż to — potwierdził Jędrzej — to możeby tę antypkę z kokosem, co pan dawniej z niej palił.

— Antypka? z kokosem? — powtórzył podkomorzy wolno — jakaż to antypka? nie pamiętam.

Tu Jędrzej z generalnego składu cybuchów w kącie, gdzie ich stało zgórą pół kopy różnego kalibru, wyciągnął jeden sążniowej długości, gruby jak kołek, a zakończony żółtą kokosową gałką i obtarłszy go połą z kurzu, którym był okryty, podał podkomorzemu.

— Aaa! to ten... od marszałka; popróbuj, czy ciągnie.

Jędrzej nadął się, skurczył i dmuchnął z całej siły.

— Ciągnie, proszę pana!

— No, to weź, ale pamiętaj i stambułek ze sześć na przypadek zapakuj.

Narada jednak nie skończyła się na tem; przyszła kolej na bieliznę, z wyborem obuwia kłopot był niezmierny, zwrócono się jeszcze do zapasów podróżnych, naczyń kuchennych i domowych, do pościeli i t. p., co przeciągnęło się godzin kilka, tak, że ledwie czas było przed południem zapakować wszystko.

Nareszcie po obiedzie i solennem pożegnaniu, podkomorzy, okutany w ogromną niedźwiedzią szubę, wwindował się do sanek i ruszył w drogę.

Czas był piękny, sanna wyborna, podkomorzy jeszcze sporo przed zachodem słońca zajechał na miejsce.

Nadleśny miał domek dość porządny w głuchej już puszczy, położony wśród ostępów i kniei na małej polance; obórka ze stajenką, szopa i chata dla czeladzi stanowiły całe jego otoczenie.

Ale pan Terpiłowski na przybycie podkomorzego potrafił tak wszystko urządzić, że i dla samego pana miał izbę czystą a ciepłą, i dla koni i ludzi znalazło się wygodne pomieszczenie.

Terpiłowski, stary myśliwy w lisiej szarej kurcie i długich jałowiczych butach, powitał gościa u progu.

Podkomorzy, wygramoliwszy się z sani i wszedłszy do czystej i porządnej izby, podziękował naprzód gospodarzowi za jego uprzejmość, a nie odkładając sprawy, zapytał zaraz o żubry.

— Bo to, uważasz, waszmość — mówił — jabym ci nie chciał tu długo zawadzać; abym tylko żubry zobaczył, będę wracał do domu.

— E! to bajki, jaśnie wielmożny panie — odrzekł machnąwszy ręką nadleśny — ja już mam wszystko gotowe, teraz pogoda piękna, noc miesięczna w sam raz, jeżeli wola jaśnie wielmożnego pana, to najlepiej dziś, za parę

godzin pojechalibyśmy samym zmrokiem w las; nim jaśnie wielmożny pan sobie trochę wypocznie, ja dojadę, tu niedaleko, w Dubrowy ostęp, jeden stożek rozgrodzę, bo tam już do niego żubry przychodzą i wąchają dawno, a potem siądziem na saneczki razem i pojedziemy; one nie chybią, będzie się można napatrzyć dowoli.

— A no, to czem prędzej, tem lepiej — odparł wesoło podkomorzy — jedźże, waszmość, ja tu tymczasem trochę się rozkurczę, herbatę wypiję, „przetrącę" cokolwiek i będę gotów; a jutro wyjechawszy rano, będę mógł na obiad jeszcze zdążyć do domu.

Tymczasem, nim podkomorzy zwątlone podróżą i kilkugodzinnym głodem siły pokrzepił, o samym prawie zachodzie słońca, Terpiłowski wrócił już do straży, radząc jechać zawczasu, aby stanąć na miejscu w ostępie wpierw, nim żubry do stogu nadejdą.

Podkomorzy więc, nie tracąc chwili, zawinąwszy się w niedźwiedzia, siadł z nadleśnym do jego małych jednokonnych saneczek i pośpieszyli do lasu.

Mrok już zapadł, księżyc w pełni prawie wysoko wzbił się na niebo i, przedzierając się pomiędzy konarami starych, olbrzymich

drzew, srebrne smugi naprzemian z pasmami cieniów rozścielał po śniegu; dalsze głębiny puszczy przedstawiały się jakby czarne jakieś nieprzejrzane czeluści, w których gubił się wzrok nadaremnie.

Podkomorzemu, który wojowniczym duchem poszczycić się nie mógł, jakoś się miękko na sercu robić poczynało.

— Mój panie Terpiłowski — rzekł przytłumionym głosem — a czy to tylko bezpiecznie tak po nocy w puszczy?

— Ee! bajki! jw. panie — odparł nadleśny — co ma być niebezpiecznego?

— No... żubry.

— Żubry! — zaśmiał się Terpiłowski — at! co to — cielęta, bydło.

— Jakto? przecież mówią, że się czasem do ludzi rzucają?

— I... i... to tylko pojedynki, stare byki najwięcej po strzale.

— Pewno? — spytał podkomorzy.

— O, tak — odrzekł nadleśny — prawda, że czasem to i bez strzału posunie się bestja zły albo rozsierdzony, ale to rzadki wypadek.

— A, a! upadam do nóg! dziękuję! — zawołał podkomorzy — niech go tam kroćset...

— E, he, he! — zaśmiał się stary myśliwy — niech jw. pan będzie spokojny.

Podkomorzy uspokoił się niby na chwilę, przypomniał jednak sobie, że oprócz żubrów, inne jeszcze „dzikie bestje“ mogą się znajdować w tak ogromnych lasach.

— A... a niedźwiedzie są? — spytał znowu.

— O! są, jw. panie.

— Hm.... to także! — mruknął podkomorzy.

— E, to bajki! jw. panie.

— No... a rysie?

— Są i rysie, jaśnie wielmożny panie, ale każdy zwierz człowieka się boi, aby tylko nie był ranny, wtedy to już inna rzecz.

Podkomorzy westchnął głęboko i zamyślił się w milczeniu.

Sanki tymczasem żwawo mknęły lesistą drożyną i niebawem jaśniejszym blaskiem zaświeciła niewielka, otwarta wśród puszczy dolina, gdzie z kilku stożków siana jeden właśnie świeżo był rozgrodzony. Terpiłowski objechał ją i przytrzymał konia w gęstwinie.

— Trzeba było z tamtej strony stanąć — rzekł podkomorzy — bo tam bliżej stogu, a stąd mało będzie widać.

— Nie można, jaśnie wielmożny panie — odparł nadleśny — boby nas pod wiatr żubry poczuły, żadenby nie przyszedł.

— No — mruknął podkomorzy — mniejsza o to. A czy tu który do nas nie przyjdzie? bo to panie, saneczki niskie, niech ich licho bierze!

— Ha! ha! — śmiał się Terpiłowski wesoło — gdyby jaśnie wielmożny pan chciał wysoko dla bezpieczeństwa, a blisko, żeby się dobrze przypatrzyć, to chyba na stogu siąść!

Podkomorzemu ten żartobliwy koncept nadleśnego wydał się prawdziwie genjalnym pomysłem. Na tej wysokości jużby go ani żubr, ani żaden dziki zwierz znaleźć nie mógł: prócz tego podkomorzy miał słabość do wygodnego i miłego siedzenia na zapaszystem sianie. W czasie „kosowicy", mimo upału, pomimo lenistwa i swojej niepospolitej tuszy, codzień szedł albo jechał na łąki nato jedynie, żeby się rozkoszować siedzeniem na miękkiem i wonnem sianku w kopicach.

Chwytając więc nadleśnego za rękę, zawołał żywo:

— Wiesz co? mój panie Terpiłowski, to śliczna myśl! abym się tylko mógł na stóg wdrapać.

— Ee, jaśnie wielmożny panie, to ja tylko, bez urazy pańskiej, tak na żart mówiłem; poco ten kłopot jw. panu? i stąd będzie widać.

— Ale nie, nie — powtarzał, nalegając podkomorzy, to byłoby doskonale, aby tylko wleźć... ot co!

Terpiłowski pomyślał chwilę.

— Ha! — odrzekł — jeżeli jaśnie wielmożny pan tak sobie koniecznie życzy, to na stóg dostać się można, na wszystko sposób musi być, bo to i stóg niewielki, niewysoko.

— Ale jakże zrobić? — pytał podkomorzy.

— Zaraz, jaśnie wielmożny panie, ja to ułatwię.

To mówiąc, żwawo podjechał do stogu, konia wyprzągł, odprowadził, i do drzewa uwiązał, sanki dość długie a wąskie do góry przodem wzniósłszy, bokiem o stóg oparł i po kopytach, wiążących płozy z wasągiem, jak po wygodnych szczeblach wszedł na nie, stąd zaś chwyciwszy się jednego z drążków, które stanowiły tak zwane okładziny, przymocowywane na wierzchu, aby wiatr nie rozrywał siana, z łatwością wszedł na wierzch niewielkiego stożka; tu, drążki pozrzucał, siano szeroko rozdeptał i wezwał podkomorzego, ażeby, jak on, wszedł na wierzch sanek. Nie

przedstawiało to zbyt wielkiej trudności, a nadzieja zupełnego bezpieczeństwa i wygodnego w sianie siedzenia znacznie ułatwiły zadanie.

Podkomorzy, choć sapiąc i stękając a czepiając się rękami i nogami, wywindował się na wierzch stojących do góry sanek.

Tu nadleśny podał mu drążek, za który chwyciwszy się, pociągniony silnie przez Terpiłowskiego, podpierając się brzuchem, to kolanami, wygramolił się przecie na wierzch stogu.

Przeszkody wszelkie zwyciężone zostały!

Żaden turysta angielski, dostawszy się na niegościnny szczyt góry Mont-Blanc, nie mógł mieć z pewnością miny i postawy tak zwycięskiej i triumfującej jak nasz podkomorzy, kiedy stanął na owym historycznym stogu.

— A! a! otóż tu, to doskonale! — zawołał zasapany, oglądając się wokoło.

— No, to niechże jw. pan sobie wygodnie usiądzie, a ja pójdę do konia, żeby nam się nie spłoszył i czasem nie uciekł.

— Dobrze, dobrze, mój kochany Terpiłosiu — odrzekł zadowolony podkomorzy — a długoż tu wypadnie czekać na żubry?

— Ha, niewiadomo! czasem zaraz z wieczora przychodzą, a czasem aż nad ranem;

różnie się trafi. Ale one są niedaleko, tutaj żerują, pewno za jaką godzinę ściągać się zaczną; tylko niech jw. pan cicho siedzi.

Podkomorzy, umieściwszy się i zawinąwszy w szeroką swoją niedźwiedzią szubę, usiadł wygodnie. W istocie było mu tam doskonale, miękko, szeroko, spokojnie, pachnąco, widno jak w dzień prawie, a cała dolinka okolona ciemnym lasem, przysnuta białą warstwą śniegu, połyskując od księżyca miljonami barwnych iskierek, dawała podkomorzemu rozkoszne przypomnienie ruskich marmeladek posypywanych kandyzowanym cukrem, do których od młodości miał szczególną słabość.

— Uf! dobrze, doskonale, bezpiecznie — mruknął, mieszcząc się jeszcze w sianie — tu mogę sobie siedzieć aż do rana; a żeby mysz przyszła do stogu, tobym ją zobaczył.

W ciepłe futro otulony, siedząc wygodnie, oglądał się na jedną i na drugą stronę podkomorzy, ale las, okalający łączkę, stał jakby czarna jakaś niedościgła dla wzroku tajemnicza opona; składał się tu bowiem głównie ze świerków i jodeł, nie zrzucających iglic na zimę, z małą tylko domieszką starych odwiecznych dębów, które, swobodniej rozrastając się od brzegu, olbrzymie swe konary, lekko przy-

Wyprawa na żubry. — Plama.

CZYTELNIA „ŚWIT" Nr 1513 Górnośląska 18 m. 38

prószone śniegiem, a osrebrzone blaskiem księżyca, tak fantastycznie miały powikłane i powyginane, że wraz z tłem ciemnem, na którem się wyraźnie rysowały, mogły najmniej żywą wyobraźnię pobudzić do jakichś dziwnych przywidzeń.

Podkomorzemu, w miarę jak się coraz cieplej robiło, coraz więcej się też i na drzemkę zbierało, ale jednocześnie wydobywały się z głębi pamięci mgliste jakieś obrazy słyszanych w dzieciństwie jeszcze, od piastunek, tysiącznych bajek o czarownicach, wiedźmach, djabłach, upiorach i wilkołakach; włosy chwilami zdawały się jeżyć lubo ich na łysinie oddawna zginęły ślady. Rozbudzał się więc, otrząsał z wpółsennych marzeń, a wywyższone położenie na stogu i pewność, że niedaleko znajduje się Terpiłowski, uspokajały go znowu.

Tak po kilku zmianach drzemki i czuwania przemogła wreszcie natura i podkomorzy zasnął na dobre.

Już było może około dziesiątej, gdy go rozbudził szmer jakiś dziwny, chrzęst i równe a jednostajne chrupanie.

Zrazu nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, ale oprzytomniawszy po chwili, otworzył oczy.

Wokoło stogu stało kilkanaście sztuk bydła ciemnej maści i różnej wielkości — były to istotnie żubry, które podkomorzy ze swego na stogu stanowiska widział doskonale, niestety jednak, nie całkowicie, bo tylko tyły i ogony. Cóż było robić?

Przypatrywał się tymczasem ogonom, nie znajdując nic osobliwego; ale miał nadzieję, że się który ruszy, odejdzie, albo nadciągnie jaki opóźniony z lasu.

Co do pierwszego, omylił się, bo zgłodzone żubry jak się przypięły do stożka, żaden się nie usunął ani na chwilę, chrupały tylko a chrupały; nie zawiódł się jednak na drugiem przypuszczeniu bynajmniej, owszem, przeszło ono wszelkie jego oczekiwania.

Wychyliło się bowiem wkrótce z ciemnej gęstwiny drugie stadko z kilkunastu sztuk złożone, przybiegając wesoło do przygotowanej dla nich paszy.

Podkomorzy przypatrywał się żubrom z ciekawością i zajęciem wielkiem, a wokoło stogu chrzęst był i chrupanie tak głośne, że nie słyszał nawet jak poza nim, z drugiej strony, czego widzieć nie mógł, z szumem i łoskotem łamiących się gałęzi, wypadła z puszczy

jeszcze jedna gromada, liczniejsza od tych wszystkich, które już były nadeszły.

Stożek tak był otoczony ściśle, że znaczna część już dostąpić do niego nie mogąc, starała się odeprzeć inne; szturchały się więc, biły i popychały.

Podkomorzy, zapatrzony na to dla siebie nowe widowisko, sądząc się być najbezpieczniejszym, ani się spostrzegł, że stożek, jak lód na słońcu, prawie w oczach topniał, zniżał się i osiadał; podjadany zaś od spodu, gdy się wszczęły bójki z nowo przybywającymi, naraz... zadrżał w całej swej posadzie i zaczął się chwiać, grożąc, że się już lada chwila przewróci.

Nastąpiło to tak niespodzianie i nagle, że podkomorzy ledwie miał czas spostrzec, co mu zagraża, kiedy z obsuwającem się z góry sianem zaczynał już tracić równowagę.

Jedyny ratunek przedstawiało tak zwane „tykło", czyli kół wielki wbity w ziemię, znajdujący się zawsze w środku stogu, wkoło którego układa się siano, aby budowa cała stała mocno i prosto.

Podkomorzy, będąc właśnie o ten kół czyli tykło plecami oparty, gdy już się siano usuwać poczęło, a stożek do upadku przeważać,

chwycił się za drąg oburącz i krzyczeć począł rozpaczliwie.

Terpiłowski, nieopodal stojąc, ukryty za ciemnemi świerków gałęźmi, za boki się trzymał od śmiechu, widząc zaś, że już rozwiązanie, kto wie czy nie przewidzianej przez niego tragi-komedji, nadchodzi, w samą porę... wystrzelił.

Spłoszone żubry w mgnieniu oka zniknęły w gęstwinach lasu, a podkomorzy przestraszony i żubrami, i chwiejącym się stogiem, i niespodziewanym strzałem, tykło z rąk wypuściwszy, przewracając koziołki, jak bezkształtna bryła stoczył się i zarył w śniegu.

W tej chwili podjechał żwawo nadleśny z pomocą; niełatwe było w ciężkiej szubie podniesienie się i wydobycie ze śniegu; upadek jednak w takich warunkach mógł być powodem jedynie pęknięcia chyba na opasłej osobie podkomorzego jakiegoś ubrania i chwilowego przestrachu.

Wstał więc, sapiąc tylko i macając się po bokach, a wyprostowawszy się i otrzepawszy z siana, śniegu i pozostałości po żubrach, siadł do sanek, prosząc leśniczego, żeby pośpieszał do straży, bo mu pilno było użyć wczasu

i odpoczynku po tych moralnych i fizycznych wstrząśnieniach.

— No — ozwał się Terpiłowski — już teraz to jaśnie wielmożny pan mógł się przypatrzyć żubrom rzetelnie.

— A! niech ich tam kroć sto tysięcy! te wasze żubry! — wybuchnął podkomorzy — żebym się był tykła nie chwycił i żebyś ich aspan nie spłoszył, toby mnie były bestje razem z sianem zjadły.

— Ee, to bajki! — odparł śmiejąc się, stary myśliwy — na nich, aby krzyknąć, to wszystkie uciekną; tylko czasem matki przy cielętach to mogą być złe, albo stare byki.

— Otóż to, aha — przerwał podkomorzy — a tu były przecież cielęta... upadam do nóg asana! A jak to bydło prędko żre, niech Bóg uchowa! Co to, panie, stóg siana! ja myślałem, że tam będę najbezpieczniejszy, choćby do samego rana.

— A, bo to, jaśnie wielmożny panie, dużo ich się naschodziło, a zima śnieżna, to teraz głodne okrutnie.

— No! — westchnął podkomorzy — żebym ja był wiedział, co to jest... lichoby mnie kazało tu jechać oglądać. I to mówią: żubry!

żubry! osobliwość! Tfu! bydło i tyle... niech ich licho bierze!

Tak się zakończyła sławna po dziś dzień wyprawa pana podkomorzego na żubry; w istocie napatrzył się on na nie dowoli i nie miał przyczyny być na przyszłość w kłopocie, gdy się ktoś o nie wypytywał. Pomysł w zasadzie był niezaprzeczenie dobry, ale na świecie dzieje się często wiele rzeczy zgoła nieprzewidzianych. Tak i tu się stało; i wedle dawnego przysłowia: lekarstwo okazało się gorszem od choroby.

Jeżeli bowiem pierwej podkomorzy nierad był, gdy się ktoś dziwił, że tak blisko sąsiadując z puszczą, nigdy głównych jej mieszkańców nie widział, to przez długi czas później nawet na samo wspomnienie o żubrach żżymał się i do najwyższej dochodził niecierpliwości. A już do końca życia, ile razy wieczorem pozwolił sobie zjeść zbyt wiele i miał mieć sen niespokojny, zawsze mu się marzyły najdziwaczniejsze tylko widziadła o puszczy. Majaczyły mu się zwierząt drapieżnych tysiące, przed któremi krył się w jakieś siano, albo się zakopywał w śniegu, lub wdrapywać się musiał na drzewa, jak wiewiórka z gałęzi przeskakując na gałąź; to

znów osobliwsze i straszne leśnych duchów postacie, siedząc na żubrach grzywiastych z iskrzącemi oczyma, gnały go po trzęsawiskach, ostępach i kniejach, gdy on, ostatnich sił dobywając, uciekał bez końca, przewracał się, padał, zrywał się i biegł dalej, aż zziajany wreszcie i zmęczony... budził się potem okryty.

To jedno wyszło podkomorzemu na dobre; przekonawszy się bowiem, co jest tych złych snów przyczyną, zaczął coraz mniej na wieczerzę jadać, stąd i daleko lepszem aż do starości cieszył się zdrowiem.

PLAMA

RAMOTKA

Wielu jest powalanych,
Ale mało wypranych.
(Kostrzevius. Rozdz.: 999 w. 1.)

Nie wątpię, że hotel Polski, przy ulicy Długiej w Warszawie położony, musi być i teraz uczęszczany; przed trzydziestu dwoma laty, czyli w roku 1849, lubiła tam zajeżdżać szlachta, przybywająca z prowincji, bo stajnie i wozownie były obszerne i dość wygodne, a pan Brukalski na dole dawał niewykwintne wprawdzie, ale niezłe gospodarskie obiady; niedaleko zaś, na *Suchym lesie* u pani Bautzowej zawsze można było dostać doskonałej kawy z taką śmietanką, o jakiej dziś niema co i marzyć w Warszawie. Obok pana Brukalskiego, w małym sklepiku, sprzedawała rękawiczki niewiasta wcale jeszcze nieszpetna i pięknej tuszy, a jeszcze piękniejszego na

zwiska, pani Polowa, której mąż był pono urzędnikiem w biurze pasportowem. Nieźle się musiało powodzić pani Polowej, bo każdy szlachcic, przyjechawszy do Warszawy, jeśli stanął w Polskim hotelu, nie mogąc wyjść na ulicę w tych rękawiczkach, które mu w różnych okolicznościach przez cały rok na wsi służyły, tam przynajmniej pierwszą parę kupował. Pan Brukalski wszelako zyski miał zapewne jeszcze lepsze, gdyż od rana do nocy bywało tam pełno. W restauracji nie trzymano ani jednego kelnera, usługiwały tylko dziewczęta, ale szanowny gospodarz dobierał je z wielkim... talentem i gustem; pod tym względem wszyscy mu oddawali sprawiedliwość należną. Po obiedzie i czarnej kawie, gdy kto chciał, podawano mu nałożoną fajkę tureckiego tytoniu, na pieprzowym cybuchu z czystem piórkiem, świeżo oskrobanem, tak że białe wiórki, trzymając się u spodu, tworzyły bardzo wdzięczną fryzowaną krezkę z wierzchu cybucha. Podajemy te drobne szczegóły minionych czasów, ponieważ dziś już nic podobnego zobaczyć nie można.

Z fajeczką właśnie, po skończonem obiedzie u Brukalskiego, siedział młody i przystojny mężczyzna przy stoliku u samego okna,

w które nieustannie spoglądał, nie widząc wcale i nie zważając, co się w sali około niego działo. Już to nawet niecierpliwiło piękną Marysię, która miała niejaką słabość do pana Stanisława Skalskiego, co się od dawnego czasu w restauracji Polskiego hotelu stołował. Podbiegła więc sprzątać ze stolika.

— Proszę pana — spytała, uśmiechając się filuternie — co pan taki zamyślony? czy pan *caszem* nie zakochany?

Pan Stanisław kiwnął ręką niechętnie wprawdzie, ale byłby może co odpowiedział, lecz w tej chwili właśnie stanęła przed hotelem dorożka z pakunkami i podróżnym, młodym również mężczyzną, który z niej żywo wyskoczył. Rzucił więc fajkę p. Skalski i bez kapelusza nawet wybiegł do bramy na spotkanie znajomego.

— A no — zawołał, witając przybyłego — przeciem się ciebie doczekał!

— Jak się masz jak się masz! — mówił wesoło podróżny. — Chodźmy na górę, mam dobrą nowinę.

Służba uwijała się żwawo, znosząc pakunki i rzeczy; panowie znaleźli się wkrótce sami w zajętym przez pana Józefa numerze.

— No, pocałuj mnie mówił przybyły — usłużyłem ci prawdziwie po koleżeńsku.

— Co? jakże? — pytał niespokojnie pan Stanisław.

— Mówiłem z rodzicami — począł Józef, biorąc się do zmiany ubrania. — Są oni wprawdzie za radcą, ale wyraźnie mi powiedzieli, i ojciec i matka, że gdyby serce córki do kogo innego się skłaniało, to się woli jej sprzeciwiać nie będą.

— Tak!? a chwałaż Bogu! — zawołał Skalski. — No — dodał — a panna Felicja?

— Panna Felicja znowu... wiesz przecie, że jest na ciebie łaskawą; ale jednak powiedziała mi, że jeśli się radca oświadczy pierwej, wiedząc, jak tego sobie życzą rodzice... no... to nie będzie mogła odmówić; więc ci trzeba pośpieszyć, żeby radcę uprzedzić. Cała rzecz na tem zależy.

Pan Stanisław rzucił się w objęcia przyjaciela.

— Niechże ci Bóg nagrodzi! — mówił. — Teraz trzeba tylko dobrzę jakoś rzecz ułożyć.

— Czekaj — przerwał przybyły — już ja obmyśliłem wszystko.

— No?

— Mój ślub za dwa tygodnie — prawił żywo pan Józef. — Na wesele przybędzie i panna Felicja z rodzicami; ty więc, jak tylko

przyjedziesz, pogadaj z panną i oświadcz się zaraz, Radca ma być także podobno, ale nim on się wymarudzi i na słowo zbierze, uprzedzisz go najłatwiej, bo masz pannę za sobą... no, i radca z kwitkiem odjedzie.

— Więc termin na piętnasty? — pytał Stanisław.

— Na piętnasty niezmiennie; ja tu jeszcze wpadłem po niektóre sprawunki, pojutrze wracam. Ty, piętnastego, o szóstej rano, towarowym pociągiem jak wyjedziesz, staniesz w Rozprzy na pół do drugiej; stamtąd do rodziców mojej narzeczonej pół godziny jazdy; w Rozprzy stoją moi ludzie z końmi, kareta ślubna z cugiem, która dopiero znajdzie się na miejscu, kiedy wszyscy będziemy w kościele, żeby nikt przed ślubem ekwipażu naszego nie widział. Mógłbyś nią przyjechać, ale toby już było za późno, więc ja przyślę po ciebie koczyk mój kawalerski, który czekać będzie, a ty mi za to opatrzysz jeszcze w Rozprzy karetę, konie, ludzi, żeby wszystko było w porządku jak należy... byle się tylko ten bestja Kacper nie upił... Ot, masz — dodał Józef, ściskając przyjaciela — ułożyłem ci wszystko, jak z płatka. Ślub będzie o czwartej wieczorem, o trzeciej przyjedziesz,

i będziesz miał czas jeszcze na oświadczyny, bo radca, wiem dobrze, ledwie do kościoła na sam ślub pośpieszy; on zawsze maruda; choćby i wcześniej przyjechał, postaramy się go nie dopuścić do panny.

Przyjaciele jeszcze raz się uścisnęli, a że panu Józefowi pilno już było do miasta, zeszli więc na dół, pan Stanisław zabrał laskę i kapelusz z restauracji, wstąpił do pani Polowej wraz z Józefem, który tam rękawiczki kupował, i, umówiwszy się kiedy i gdzie się jeszcze spotkać mają, ruszył wreszcie do domu, uszczęśliwiony, snując rozkoszne marzenia.

Pierwsza w kraju naszym kolej żelazna, zwana Warszawsko-Wiedeńską, zbudowana przed rokiem zaledwie wówczas, ukończona przez Sztajnkellera, największą była u nas jeszcze osobliwością. Wynalazek ten uważano bez wątpienia za rzecz znakomitą, ale mu z początku wcale nie dowierzano, i tych, którzy się koleją w owych latach puszczali, miano za ludzi niesłychanie odważnych, ryzykownych nawet tak, jakby dziś, naprzykład, mówiono o kimś, co napowietrzną podróż balonem odbywał. Wielu ze starszych panów, gdy mowa była o kolei żelaznej, mocno kiwało głowami, wspominając smoka z Apokalipsy, który, jak

utrzymywano, niczem innem nie jest, tylko parochodem, przejrzanym przez św. Jana, ku pożytkowi głównie narodu... z którego sam pochodził. W przepowiedni więc nie było nic dziwnego. Staruszkowie woleli kilka dni trębolić się końmi z noclegami i popasami, aniżeli w kilka godzin najwygodniej zajechać na miejsce. Jeden szlachcic dowodził, że nie jest wyżłem, aby na niego świstał lada jaki konduktor. Włościanie żegnali się zdaleka, widząc przebiegającą lokomotywę, i za żadne skarby świata żaden z nich nie byłby się odważył wsiąść do wagonu. Utrzymywali powszechnie, że w tem jest: *coś nieczystego.* Po bliższem rozpatrzeniu rzeczy, okazuje się też dowodnie, że tak zwany chłopski rozum nie bez przyczyny jest chwalonym. Istotnie, oni to najpierwsi spostrzegli, że w tem jest coś nieczystego. Dość spojrzeć na wodę, w której się człowiek umyje, przejechawszy kilkadziesiąt mil koleją; dość popatrzeć na wagony, ławki, siedzenia, sukno i szyby na wszystkich naszych kolejach; ale nadewszystko, dość jest zastanowić się nad kolosalnemi majątkami, jakie u nas z budowy rozmaitych kolei powstały... Że w tem być musi wiele rzeczy *nieczystych,* zdaje się to nie podlegać żadnej wątpliwości.

Mimo to wszystko, kolej żelazna okazywała się rzeczą dobrą i wygodną; jeździł nią pan Józef, jeździł i pan Stanisław Skalski; według ułożonego więc przez przyjaciela planu, przygotowywał się na dzień 15 czerwca do podróży, w której, oddając koledze przysługę, jako przyszły drużba, sam również dla siebie miał nadzieję uchwycenia chwili, mającej o całem życiu jego dalszem i przyszłości stanowić.

Pan Stanisław był człowiekiem bardzo rozsądnym i wszelkie władze jego umysłu w takiej były prawidłowej równowadze, że najwyższa miłość, jaką dla panny Felicji w swojem sercu piastował, nie przeszkadzała mu myśleć o prozaicznych rzeczach powszedniego żywota. Mając przeto oświadczyć się swojej wybranej, pomyślał zawczasu o przyzwoitem a pięknem przedstawieniu się na weselu pana Józefa, czyli, mówiąc poprostu, o... tak zwanej nie po naszemu, garderobie, czyli ubraniu.

Słynął naówczas w Warszawie, jako znakomity krawiec Imć pan Sokołowski, przy Bielańskiej ulicy, który miał pracownię swoją w domu naprzeciwko pompy, gdzie na pierwszem piętrze kilka izb obszernych zajmował. Gdy kto do niego przychodził, zwyczaj miał

zapytywać nie o to, co kto chciał zamawiać ale na jaki cel ubranie służyć miało; poczem sam już zajmował się wybraniem odpowiedniego materjału, krojem i ułożeniem całości stroju, tak ażeby tenże wszelkim wymaganiom smaku i mody odpowiadał bez zarzutu. Dla wielu osób był ten zwyczaj Sokołowskiego niezmiernie wygodny; choć więc pan Stanisław mógł wybornie i sam o swoim stroju pomyśleć, najchętniej jednak zdał się na słynną znajomość przedmiotu samego Sokołowskiego, i zamówiwszy ubranie jako „dla drużby“ na ślub przyjaciela, które miało mu być do mieszkania odwiezione, wieczorem d. 14-go czerwca, uspokojony już pod tym względem, oddał się miłym marzeniom, niecierpliwie oczekując szczęśliwej chwili swojego wyjazdu.

Sławny Sokołowski miał tę niesłychanie rzadką u panów majstrów zaletę, że zamówioną robotę, w ważnych zwłaszcza okolicznościach, na naznaczoną godzinę i niemal minutę, niechybnie dostawiał. I tu więc, dnia 14-go wieczorem, otrzymał p. Stanisław ciemnogranatowy frak z pięknej sajety, białą kamizelkę, oraz tak zwane ineksprymable, z prześlicznego cieniuchnego, biało-perłowego korciku. Strój był modny, piękny i świeżuchny

jak z igły; jedna tylko ważna przedstawiała się okoliczność, a raczej pytanie: czy się przebrać po przybyciu na miejsce, co najwłaściwszem się zdawało; czy wystroić się już odrazu i jechać w nowem ubraniu? Zważywszy jednak, że po przybyciu do Rozprzy, czy na miejsce, do przebrania się nie byłoby wcale ani jednej chwili, pan Stanisław ze smutkiem widział się zmuszonym wdziać nowe ubranie na miejscu, z wyjątkiem fraka tylko, który wiózł z sobą w torbie; zamiast niego zaś, jako w czas gorący, wziął lekką króciuchną kurteczkę, i tak, o godzinie szóstej rano, udał się pośpiesznie na dworzec kolei; tłumoczek oddał do pakunków, z sobą zaś miał tylko torebkę niewielką, w której znajdowało się prócz fraka, 3 chustki do nosa, kilka par rękawiczek, mydło, grzebienie, wódka kolońska i inne tym podobne drobiazgi.

Spała jeszcze prawie cała Warszawa, w porannej mgle spowita, kiedy już p. Stanisław wsiadał do pociągu, co chyżym biegiem zanieść go miał w dalekie strony; ranek cudownie piękny i pogodny szczęśliwie wróżył o dniu wybranym na ślub pana Józefa i oświadczyn jego przyjaciela.

W mieście sypiają ludzie zwykle kiedy słońce świeci, w nocy zaś czuwają. Skąd

się wziął ten obyczaj, całemu stworzeniu i światu przeciwny, odgadnąć trudno; czy dla bezpieczeństwa od złodziei, czy dlatego, że w nocy czynności ludzkie nie tak są, jak w dzień, widoczne, czy dla innych jakich powodów, — pozostawiamy to do rozwiązania badaczom; dość że na ranny pociąg kolei żelaznej, o godzinie szóstej wychodzący z Warszawy, podróżnych na ten raz tak było niewielu, że pan Stanisław, siadłszy do jednego oddziału drugiej klasy, znalazł się najzupełniej sam jeden. Wszelako, rad był z tego zdarzenia, samotność bowiem pozwalała mu oddać się miłym marzeniom, dumaniu nad planem całej przyszłości i wreszcie obmyśleniu wszystkiego, co mu wypadało czynić dziś właśnie, w dniu tym, który miał stanowić najgłówniejszą w jego życiu epokę.

Wskoczył więc do wagonu żywo i ochoczo, położył torbę na jednej ławce, sam usadowił się wygodnie na drugiej, i drzwiczki zatrzaśnięto z łoskotem. Miarkując z niesłychanego rwetesu, pośpiechu i bieganiny przed wsiadaniem, należało spodziewać się, że pociąg w tejże chwili pędem strzały poleci; ale kiedy już wszystko było w porządku i wszyscy na swoich miejscach się znajdowali, kiedy wszystkie

drzwiczki ze stukiem i brzękiem pozamykano, zaczęło się dopiero powolne i spokojne spacerowanie, gawędki, tuptanie na miejscu i chodzenie tam i sam z papierami i bez papierów, przeróżnych więcej lub mniej dostojnych, a wszechwładnych urzędników kolejowych, przeznaczonych do dozoru klatek z podróżnymi, szczelnie na klucz pozamykanych; co wszystko razem uderzało niesłychanem podobieństwem, z przewożoną przez Niemców, a nieraz widywaną u nas menażerją, z najdzikszych zwierząt złożoną. Wreszcie, wagony szarpnięte nagle wtył i naprzód, uderzyły się buforami, pan Stanisław zrobił mimowolny a najniższy ukłon własnej torbie, która przed nim leżała, zaczęło coś skrzypieć, stukać, stękać, świstać, sapać, zgrzytać, i pociąg ruszył nakoniec, wymijając powoli coraz mniejsze domki, ogrody i budki strażnicze. Szerokie pola roztaczały się wokoło, podróżni, wydobywając się ze zgęszczonej atmosfery warszawskiego wyrobu, stawali się podobnymi do ptaszka, z pod machiny pneumatycznej wypuszczonego; a z powonienia i oddechu sądząc, pomyśleć mogli, że na inną jakąś wjeżdżają planetę; krew im żywiej krążyć poczęła, rozjaśniły się czoła, — i pan Stanisław, również pełną oddychając

piersią, uczuł się dziwnie rażnym, szczęśliwym, wesołym; jeszcze godzin kilka, a losy jego rozstrzygnąć się miały. Złotemi snami kołysany, nie spostrzegł nasz podróżny, kiedy Pruszków, Rudę i Radziwiłłów pominął; w Skierniewicach pociąg stać miał dwadzieścia pięć minut. Kto głodnym był, pośpieszał do bufetu, a że pan Stanisław naczczo wyjechał, kazał więc sobie podać kawy.

— Szklankę czy porcję? — spytał służący.

Pan Stanisław nie miał ani czasu, ani ochoty wdawać się w rozstrząsanie subtelnej różnicy, jaka mogła między szklanką a porcją zachodzić, tem bardziej, że mu głód dokuczał.

— A no, dawaj porcję! — odrzekł pośpiesznie.

Podróżni popijali i kończyli już swoją kawę w szklankach, a pan Stanisław czekał dobry kwadrans, nim mu ową zapowiedzianą porcję przyniesiono; pięknie to jednak wyglądało: na tacy stała filiżanka, cukier, grzaneczki i nie jak u nas zwykle po polsku garnuszek ze śmietanką i imbryczek z kawą, lecz po niemiecku, dwa jednakowe porcelanowe imbryczki bliźnięta, jeden z cykorją, pełniącą obowiązki kawy, drugi z mlekiem w charakterze śmietanki. Do wypicia owej kawy już niewiele czasu zo-

stawało; pan Stanisław pośpiesznie nalał filiżankę jedną — wypił; nalał jeszcze prędzej drugą, kiedy już pierwszy raz zadzwoniono, wychylił ją żywo; *rozpłacił się* i wskoczył do wagonu. Tu, odetchnął swobodniej, pewnym już był, że pojedzie, głód zaspokoił, a że nie miał fajeczki, dobył natomiast cygaro, obciął, zapalił i usadowił się wygodnie.

Sprawa żołądkowa, przerwawszy poprzednie idealne marzenia pana Stanisława, sprowadziła go na zwyczajne, prozaiczne drogi żywota, dobył więc lusterko, poprawił misternie zawiązany węzeł u chustki na szyi, wyjął z torby szczoteczkę i grzebyczek, przyczesał się nieco, obejrzał frak schowany, czy się nie gniecie zbytecznie, wreszcie, chustką od nosa począł otrzepywać prześliczne i świeże białoperłowe spodeńki. Nagle, wzrok jego uderzyła ciemna, prawie czarna jakaś prószynka, wielkości grochu, znajdująca się nad samem prawem kolanem, w miejscu najwidoczniejszem. Trzepnął chustką raz i drugi, ale prószynka nie zlatywała. Cóż to jest? przypatrzył się bardziej; była to, niestety, najwyraźniejsza plamka od kawy, co z imbryczka prysnęła. Zastanowił się mocno: co tu z nią zrobić? Maluczka wprawdzie, ale bardzo widoczna,

niepodobna jej tak zostawić. — A! jest rada — pomyślał sobie — mam w torbie wódkę kolońską... to się bardzo łatwo wywabi. Dobył więc czem prędzej flaszkę, odkorkował, puścił kilka kropel na plamę, i począł chustką wycierać. Skutek okazał się natychmiast bardzo widoczny; plama zbladła nieco, ale natomiast rozszerzyła się do objętości dziesięciogroszówki.

Z ostatecznym sądem wstrzymać się jednak należało do wyschnięcia; wszelako, nadto była widoczną, aby ją tak pozostawić można. Więcej przeto wódki kolońskiej nalawszy, począł pan Stanisław starannie wycierać. W miarę postępu tej pracy, plama rozszerzyła się coraz bardziej, od wielkości dziesięciogroszówki przeszła do szerokości trzech groszy, rubla srebrnego, wreszcie rozlała się podłużnie, jak dłoń szeroko, przedstawiając coraz dziwniejsze zmiany i niby geograficzne kształty. W środku bowiem, jak stolica jaka, tkwił ów punkt ciemniejszy, niedający się żadnym sposobem wywabić, wokoło niego rozciągał się pierścień jasny, lekko tylko żółtawym zabarwiony kolorem, przy brzegach zaś cała plama na tle perłowem silnie odznaczała się powyzębianemi nieregularnie brzegami, koloru ciem-

nej, bardzo pięknej żółto-orzechowej sepji; ogólny zaś rysunek przypominał jakoby na bladem tle oceanu najwyraźniejsze kształty wspaniałej wyspy Sumatry. Panu Stanisławowi krew mocnem tętnem biła już do głowy, z gorączkową gorliwością i pośpiechem coraz więcej kolońskiej wódki dolewał, coraz silniej wycierał; plama, nie zmieniając zasadniczej barwy, którą od tła najzupełniej się odróżniała, prana i polewana nieustannie rozlewała się na wszystkie strony i żeby należycie stan rzeczy ocenić, przedewszystkiem wypadało ją obsuszyć, gdyż materjał nawskroś już był przemoczony. Na to bardzo łatwo można było poradzić; wiatr za oknami dął silny, należało na działanie jego wystawić zmoczone ubranie, a w kilka minut mogło być zupełnie suche. Pan Stanisław, lubo dla *ciepłego czasu* i lepszego leżenia stroju, nie miał pod spodem żadnego innego ubrania, mógł jednak bezpiecznie zdjąć to jedyne, ponieważ sam jeden znajdował się w wagonie. Natychmiast wziął się energicznie do rzeczy; ściągnął swoje biało-perłowe ineksprymable, i wywiesił je za okno wagonu. Pomysł okazał się doskonałym; plama w oczach wysychała, bladła i znikała, zaledwie lekkie wid-

niały po niej ślady. Pociąg zbliżał się właśnie do zakrętu między Makowem a Płyćwią; chude i drobne włościańskie bydełko skubało przyschłą i ubogą trawę niedaleko plantu kolei, roje much i bąków unosiły się w powietrzu... Byłby na to wcale podróżny nasz nie zwracał uwagi, gdyby ten sam dobroczynny wiatr, co tak wybornie obsuszał plamę, nie wpędził mu przez otwarte okno do wagonu kilkunastu tak zwanych ślepaków, czyli owych natrętnych, a niesłychanie ciętych bąków, od których często i bydło giez napada, że z desperacji zadarłszy ogony, pędzi w świat bez żadnej pamięci. Nie zapominajmy, że pan Stanisław był w stroju nawpół adamowym; miał wprawdzie na sobie kurteczkę, kamizelkę i koszulę, ale dołem, niestety nic... oprócz butów. Dla bąków, które od chudego a gruboskórnego bydła dostały się szczęśliwie do wagonu, dość pulchne kształty pana Stanisława zbyt były ponętne, aby się do nich dobrać nie chciały. Podróżny nasz ani się spodziewał, kiedy go gdzieś zdradziecko ztyłu uciął jeden, jakby lancetem; podskoczył równemi nogami; a tuż i drugi ślepak i trzeci i czwarty; jedną ręką przeto trzymając wywieszone ubranie, opędzał się drugą, spozie-

rając za siebie; tymczasem inny, skorzystawszy z nieruchomej za okno wystawionej, ręki, padł na nią i zapuścił świdrowate żądło. Ból dotkliwy i nieznośny przymusił do rzutu ręki mimowolnego, wiatr frunął silny, i.... białoperłowe ubranie pana Stanisława, owo arcydzieło Sokołowskiego, szybkim pędem uniesione w górę, zwijając się i rozwijając dziwacznemi ruchami, na podobieństwo napowietrznego jakiegoś smoka, szybkim, skrzydlatym pędem uniosło się... ku Warszawie.

Pan Stanisław stanął oniemały, z rozwartemi nawpół ustami, śledząc osłupiałemi oczami niknącą w przestrzeniach niebieskich najpotrzebniejszą część swojego ubrania.

Myśli pomieszały mu się i poplątały bezładnie, sam nie pojmował, co się z nim stało — co będzie — jak sobie w tym nieszczęsnym wypadku poradzi...

Pociąg pędził chyżo tymczasem i już się do Płyćwi przybliżał; wreszcie, począł zwalniać biegu, dojeżdżano do stacji. Kilkanaście osób, pań i panów, z torbami i węzełkami, stało przed dworcem, oczekując na przybycie pociągu, którym jechać mieli.

Pan Stanisław, opamiętawszy się nieco, zaczął przywoływać konduktora, ale wiadomo

powszechnie, że podróżni są dla służby kolejowej, nie zaś ona dla nich; wśród gwaru więc i chronicznego na kolejach pośpiechu, nikt na wołania pana Stanisława nie zwracał uwagi.

Tymczasem dwie jakieś panie, dość strojne, piękne i młode, w towarzystwie średniego wieku mężczyzny, zbliżyły się właśnie do przedziału, który nasz podróżny zajmował.

— Tutaj, tutaj niechaj panie siadają! — mówił towarzysz dam, biorąc za klamkę i chcąc już otwierać.

Pan Stanisław oburącz chwycił za drzwiczki, zmieszany i zarumieniony ze wzruszenia.

— Nie można! nie można! — wyjąkał pośpiesznie.

— Jakto nie można?! dlaczego? — odparł oburzony jegomość — a to dobre! przedział próżny... cóż to znowu?! Proszę, proszę — mówił, obracając się do kobiet, — niech panie siadają.

Począł targać klamką, ale pan Stanisław, ostatnich sił dobywając, przytrzymywał drzwiczki.

— Tu nie można siadać; niepodobna! — wołał drżącym głosem — ja nie mogę wpuścić...

— A to doskonałe! cóż u djabła! — krzyczał dąsając się podróżny — przedział nie

dla pana jednego. Panie konduktorze! proszę tutaj, proszę; panie konduktorze!

Konduktor podszedł z ministerską powagą.

— Proszę pana — ozwał się towarzysz dam zaperzony — ten pan sam jeden siedzi, a nie chce nas wpuścić do tego przedziału.

— Cóż to, pan za wszystkie siedzenia zapłaciłeś? — ofuknął konduktor, zwracając się do pana Stanisława; i wziąwszy za klamkę, dodał — a no, niech państwo siadają.

— Ja tutaj nie wpuszczę nikogo — wołał zrozpaczony Skalski, przytrzymując drzwiczki całą mocą — tu jest bardzo ważna okoliczność... której... ja... nie mogę wyjawić... tylko... tylko... proszę pana zawiadowcy poprosić... proszę, bardzo proszę... niech państwo darują, to... to się zaraz wyjaśni.

— Cóż to za komedja?! — przerwał jegomość.

— Co to? dlaczego? — pytał konduktor.

Panie czegoś musiały się domyślać zapewne, bo uśmiechały się, spoglądając po sobie, i szeptały jedna drugiej do ucha.

Na szczęście, zjawił się i zawiadowca właśnie.

— O co to chodzi? — spytał, przybliżając się do wagonu.

— Panie zawiadowco! proszę, bardzo proszę tutaj! bliżej! — zawołał pan Stanisław — mam bardzo ważną rzecz do powiedzenia.

— Ten pan brewerje dokazuje! — objaśniał konduktor.

— Panie zawiadowco — powtórzył Skalski pośpiesznie — jedno słowo tylko, proszę tu bliżej do okna, proszę!

Zawiadowca, stanąwszy na stopniach wagonu, rzucił okiem wewnątrz przedziału.

— Cóż to jest? — spytał z mimowolnym uśmiechem, ujrzawszy zbyt... szkocki strój pana Stanisława.

— Zlituj się pan — szeptał mu Skalski — wyratuj mnie z tej biedy, zdarzył mi się najnieszczęśliwszy przypadek, chciałem wymyć plamę... wywiesiłem za okno... wiatr porwał... nie mam płaszcza, ani żadnego okrycia... okropna rzecz!

Zawiadowca nie mógł się wstrzymać, i wybuchnął głośnym śmiechem.

— Panie Puchalski — rzekł, zwracając się do konduktora — każ pan tu mój płaszcz przynieść.

Pan Stanisław napróżno błagał, aby wyrzucono jego tłumoczek, czasu już na to nie było; płaszcz tylko podany przez okno zarzucił na siebie, wziął torbę i wyskoczył z wagonu, a ledwie do mieszkania zawiadowcy dobiegł, już się odezwał dzwonek, świstawka, i pociąg ruszył w dalszą drogę.

Wszystkie plany i nadzieje pana Stanisława upadły, a raczej uleciały razem z podmuchem owego zdradzieckiego wiatru, który mu z rąk wyrwał biało-perłowe arcydzieło Sokołowskiego.

Nieszczęśliwy pan Stanisław siedział zamknięty w małej izdebce; siedział, jak posąg, i dumał z goryczą o niepewnościach, jakiemi jest na tym świecie najeżone całe życie człowieka.

Marna rzecz — kropelka kawy — a od niej jednak rozbijała się cała przyszłość jego, jak bańka mydlana.

Rady żadnej istotnie nie było — brakło ubrania i tłumoczka, a choćby to wszystko miał nawet, nie mógł już na oznaczoną porę przyjechać.

Powtórnym przeto pociągiem, w pożyczonem ubraniu, o godzinie trzeciej wyjechawszy

z Płyćwi, o szóstej wieczorem stanął w Warszawie.

Tegoż samego dnia pan radca oświadczył się pannie Felicji i został przyjęty, a pan Stanisław, zostawszy starym kawalerem, wyrzekł się raz na zawsze i kawy i kolei żelaznej i wszelkiego jasnego ubrania.



1. DOMAŃSKA A. Złota przędza. Baśń.
2. — Kuglarz Matki Boskiej. Legenda.
3. — Krzyż w Probołowicach. Legenda.
4. — Ave Maria. Legenda.
5. — Czeladnik majstra Szymona. Legenda.
6. GLIŃSKI K. Ostrzeżenica. Nowela.
7. CHOIŃSKI-JESKE T. Rycerz bandyta. Nowela.
8. — Trubadur w pułapce. Nowela.
9. JEZIERSKI E. O skarb Gwajkurów. Opowiadanie.
10. — Za wiarę i ojczyznę. Opowiadanie.
11. TUCHOŁKOWA St. Dziewica Orleańska. Powieść historyczna.
12. CHOIŃSKI-JESKE T. Sąd Boży. Nowela.
13. DOMAŃSKA A. Królewska niedola. Powieść historyczna.
14. JAROSŁAWSKI M. Odwet Drzymały. Nowela.
15. — Szwabski niewolnik. Nowela.
16. — Patrol wigilijny. Nowela.
17. DOMAŃSKA M. Siostra Hanna. Nowela.
18. — Żona ułana. Nowela.
19. — Panienka ze dworu. Nowela.
20. BAŁUCKI M. Latawica. Nowela.
21. — Za późno. Nowela.
22. BOGDANOWICZ E. Błękitna pantera. Opowiad.
23. — Sępie gniazdo. Opowiadanie.
24. GOMULICKI W. Strach. Opowiadanie złodziejskie.
25. — Syrena. Opowiadanie.
26. — Żołdat. Opowiadanie.
27. — Zakazane. Opowiadanie.
28. — Dlaczego mój znajomy nie mógł dotąd „piasu" swoich napisać? Humoreska.
29. JASIŃSKI K. J. Dawni ludzie. Opowiadania.
30. STODOR-CEHAK A. Czarna ściana. Opowiadanie.

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

BIBLIOTEKA
Polskiego Związku Łowieckiego
Bel. III.
Nr 2179.

„DL[illegible]

NOWELE, PODANIA, LEGENDY, OPOWIEŚCI

56

31. MORAWSKA Z. Skarbiec Faraona. Opow. egipska.
32. ORWICZ J. Gołębiec. Opowiadanie.
33. — Cyrograf. Nowela.
34. GLIŃSKI K. Przeklęty ród. Nowela.
35. — Ave! Nowela.
36. CIEMBRONIEWICZ J. Mistrz Twardowski. Opowiadanie.
37. WIERZBIŃSKI M. Kaletyna. Opowiadanie.
38. SEWER. Zielona latarka. Nowela.
39. JACKOWSKI-N. M. Tumba. — „Ojcze nasz". Opowiadania z puszcz amer.
40. — Marja Antonina. Humoreska brazylijska.
41. GLIŃSKI K. Wielki szlem. Nowela.
42. KROPIWNICKA C. Giewontowy hulięc. Opowiad.
43. SEWER. Mama sobie życzy. Nowela.
44. GLIŃSKI K. Murlaj. Nowela.
45. — Kowalowa góra. Nowela.
46. WIERZBIŃSKI. Pięść Marcina Wilczka. Nowela.
47. SEWER. Lusia Burlak. Nowela.
48. — Pierwszy utwór. Nowela.
49. GLIŃSKI K. Pan Radca. Nowela.
50. SEWER. Na pobojowisku. Nowela.
51. GAWALEWICZ M. Sprawa honorowa. Z opowiadań sekundanta.
52. — Jôôl. Obrazek z życia wyspiarzy Fryzyjsk.
53. JAROSŁAWSKI M. Walczące Widma. Nowela.
54. KRASZEWSKI K. Skuteczne wody. — Pokolei. Humoreski.
55. SZELBURG-OSTROWSKA E. Legendy żołnierskie.
56. KRASZEWSKI K. Wyprawa na żubry — Plama. Humoreski.
57. KRZYŻANOWSKI A. Za winy niepopełnione. Now.
58. KRASZEWSKI K. Nehemi. — Reb Icek. Humoreski.

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

BIBLIOTEKA
Polskiego Związku Łowieckiego
Nr 2179